

Teatr na lekarstwo



Józef Węgrzyn
w „Porwaniu Sabinek“.

„Teatr Nowy“: Porwanie Sabinek, komedia w trzech aktach R. Szentana. Reżyseria: Stanisława Perzanowska. Dekoracje i kostiumy: Jan M. Szanccer. Kapelmistrz: Mieczysław Krzyński.

Mądrzy dyrektorzy starych teatrów greckich wiedzieli, jak należy układać program przedstawienia: wpierv trzy tragedie, a potem wyuzdana, rozśpiewana i roztańczona komedia satyrowa, która wymiotła z widza ponure refleksje nad losem Prometeusza króla Edypa czy Medei.

Nasze serca i nerwy, potargane wojnami, domagają się może odwrotnych proporcji: trzech komedii na jedną tragedię — nie czarnołęskiej chcemy rzeczy, która serce uleczy, ale dużo śmiechu, łatwego, pustego śmiechu. Lecz cóż! Po „Strzałach na ulicy“, „Nocach gniewu“, „Domu pod Oświęcimiem“, „Ladacznicy z zasadami“ i „Odwetach“ (strzelają w tych sztukach,

że aż teatr dudni...) możemy w Warszawie pójść tylko do jednego ambulatorium, do Teatru Nowego, a tam dają premierę raptem raz na dwa, trzy miesiące.

Nową premierą teatru przy Puławskiej jest „Porwanie Sabinek“, stara pocziwa farsa, ale odświeżona nie do poznania. Odświeżona przede wszystkim pomysłowymi żartami muzycznymi, które wspierają wiotki tekst, podkreślają pointy dowcipów i powracają do nich w trafnie zastosowanych reminiscencjach (np. kanon w trzecim akcie). Niczego się od nas nie wymaga — tylko sięgnąć, patrzeć i słuchać: wszystko podają nam w formie lekkostrawnej nawet łacinę Sokołowskiej i Fertnera (Edwarda! był także Antoni występuje obecnie w Warszawie); nie każą nam medytować i denerwować się problematami, tylko pławić się w humorze, a gdzieś tam w naszym wnętrzu odbywa się cichutko błogosławiona terapia.

I jeszcze jedno należy zapisać na plus „Teatru Nowego“ nie tylko „Porwania Sabinek“. Osiemdziesiąt procent dowcipów, które opowiadają sobie nasi panowie, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent dowcipów, które opowiadają sobie nasze panie, kręci się z reguły dokoła brzydkich, acz pożytecznych części ciała i ich popularnych czynności. Tymczasem w „Teatrze Nowym“ pornografii ani za złotówkę. Można się więc doskonale bawić i bez tego.

Józef Węgrzyn zaprezentował pyszną kwintesencję szmiry, rzekłbym: legendę szmiry, bo takiego teatru Strzygi-Strzyckiego nie znajdziemy dzisiaj nawet w najbardziej ustronnych miejscach kraju. Należałoby sfilmować mistrza Węgrzyzna w tej roli.

Deblut dekoratora na ogół udało się przydać może jeszcze więcej dowcipu we wnętrzach i kostiumach.

Artur Marya Swinarski